

Czerwone opaski

W młodych latach chętnie słuchaliśmy opowiadań ludzi starszych. Nie było jeszcze telewizji i rzadko kto miał radio lampowe. Niektórzy w tajemnicy słuchali Wolnej Europy, bo to było niebezpieczne, ale potem dzielili się informacjami z zaufanymi. Pozostało więc słuchanie wspomnień, np. rodziców, dziadków lub odwiedzających nas sąsiadów.

Przed II wojną światową, czyli przed 1939 r., w domu babci Brońki mieszkała rodzina pochodzenia żydowskiego. Rozmawiali po polsku lub w idysz, zależało, jak kto zaczął. Babka od dziecka swobodnie używała języka idysz. Wszyscy żyli zgodnie. Jednak któregoś dnia przyszła do babki policja z podejrzeniem, że u lokatorów odbywają się spotkania komunistyczne. Babka wygnała policję i powiedziała im, że ona nie wtyka nosa w cudze sprawy i nie docieka kto i po co przychodzi.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, pojawiły się nad Szczebrzeszynom niemieckie samoloty zwiadowcze. Dopiero po kilku dniach spadło parę bomb, ale nie wyrządziły wielkiej szkody. Niemcy na czołgach pojawili się dopiero około 12 lub 13 września. Zajęli miejscowe szkoły. Część z nich rozstawiła samochody, namioty i kuchnie polowe na rynku. Mieszkańcy chowali się po domach. Nie było bohaterów do oglądania Niemców. Zaprowadzali swoje porządki, ale jeszcze w miarę było spokojnie.

Około 26 września, na podstawie układu z Niemcami, przyszli do Szczebrzeszyna Sowieci. Na powitanie Sowietów powychodzili wcześniej schowani komuniści pochodzenia żydowskiego. Po dogadaniu się z Sowietami dostali czerwone opaski i prezentowali się jako porządkowi nowej władzy. Kilkuosobowe grupki zajmowały rogatki miasta lub przechadzali się w bardziej uczęszczanych miejscach. Opowiadał o nich stryjek Zygmunt, ponieważ spotkał ich na ul. Zwierzynieckiej przy moście na Wieprzu. Znał ich i powiedział mi, że gdyby go zaczepiali, to by ich zastrzelił. Jechał na koniu i trzymał pod marynarką solidny pistolet. Miał już doświadczenie z wrogami, bo uciekł Niemcom, potem Sowietom i znowu Niemcom. Ostatni raz, kiedy Niemcy wylapywali polskich żołnierzy i jemu przydarzyło się nieszczęście. Pędzili ich przez Józefów Biłgorajski koło ogrodzenia kościelnego. Sprytnie przefiknął się przez ogrodzenie i uciekł do lasu. Niemcy nie zauważyli go. Natomiast w lesie napotkał polskich żołnierzy. Dowódca dał mu konia, cywilne ubranie i broń. Miał organizować partyzantkę w okolicach Parczewa.

Około 4 października następuje zmiana okupacji tych terenów. Ponownie wracają Niemcy. Komuniści żydowskiego pochodzenia zdejmują czerwone opaski, przyłączają się do Sowietów i uciekają za Bug. Niemcy w budynkach szkolnych lokują SS-Galitzien, kościół św. Katarzyny zamieniają na cerkiew dla wojska,

zamykają kościół św. Mikołaja, a do dyspozycji katolików pozostał mały kościółek św. Leonarda na cmentarzu grzebalnym poza miastem.

Zaczyna się terror. Najpierw wyrzucają Żydów z mieszkań i gromadzą ich w hali targowej przy rynku i w zruinowanej cerkwi. Najpierw wyrzucali Żydów z domów, aresztowali ich lub od razu zabijali opornych. Potem część oprawców pozostawała w domach, żeby szabrować. We wtorki, kiedy w Szczepieszynie był jarmark, to właśnie ci oprawcy sprzedawali zrabowane rzeczy, ale nikt z Polaków tego nie kupował.

Okoliczni chłopcy byli pędzeni co rano do zbierania z ulic i podwórek zabitych Żydów i wywożenia ich na kirkut. Niemądrzy ludzie potem byli zdania, że to polscy chłopcy łupili żydowskie domy. Nieprawda, bo pytałem ciotkę Stefcie, która widziała akcje Niemców na podwórku państwa Futymowskich - jak zabijali opornych Żydów i szabrowali mieszkania. Moja przyszła Matka opowiadała, jak idąc rano do pracy musiała przeskakiwać zwłoki leżące na ulicy.

Domy zamieszkałe przez Żydów były palone, szczególnie drewniane. Długo po wojnie można było spotkać reszki fundamentów domów w dzielnicy Zatyły nad Wieprzem. Potem część Żydów pędzono na stację kolejową, a pozostałych rozstrzeliwali na kirkucie.

Po Żydach przyszła kolej i na Polaków.

Moja matka w czasie wypędzania z domów Polaków na rynek, sortowania i wywózki do obozów lub na roboty do Reichu nie miała wytłumaczenia, żeby zostać na w Szczepieszynie z rodzicami. Dlatego schowała się w wysokich różach, które rosły przed pocztą (posesja państwa Głowackich, dzisiaj to chyba ul. Sobieskiego, a poczta jest na ul. Zamojskiej.) Przeleżała tam do wieczora. Potem udało się jej wyjść z ukrycia i wkrótce znalazła pracę w knajpce w okolicy skrzyżowania z ul. Zwierzyniecką. Kiedy rano sprzątała lokal, z narażeniem życia na zapleczu knajpki, na podwórzu, karmiła Żydów wychodzących z ukrycia. Między budynkami było szerokie przejście na ul. Zwierzyniecką, gdzie na wprost znajdowało się niemieckie kasyno (w domu na parterze, przy murze kościoła św. Katarzyny, koło lecznicy dla zwierząt). Gdyby ktoś zauważył, że matka karmi Żydów, wiadomo, jakie byłyby konsekwencje. Podobnie robiła i babka Brońka, kiedy chowała lokatorów żydowskich pod podłogą w kuchni. Jak Niemcy szukali i stukali kolbami w podłogę po mieszkaniach, to babka dostawała takiego ataku kaszlu, że Niemcy uciekali przed zarazą. Natomiast stryjo Wincenty ożenił się z Żydówką i schował ją z dzieckiem do lasu, ale jakoś się to wyjawilo. Nie chciał powiedzieć, gdzie jest żona z dzieckiem, to znalazł się w Oświęcimiu. Przetrzymał do wyzwolenia.

Mój dziadek Kazimierz Bielecki podkradł się na kirkut i widział zza krzaków zachowanie oprawców. Najpierw skazańców obszukiwali, a potem zabijali. Jeden strzelał bez oporu, ale inny zatykał uszy i chował się za drzewo.

Z dzieciństwa pamiętam jeszcze kilka wyraźnych zagłębień w ziemi, gdzie są zakopani rozstrzelani Żydzi. Dzisiaj to wszystko jest zarośnięte.

Zdarzyła się i taka scena. Kiedy dzieci żydowskie zostały wypędzone na rynek do studni, aby napić się wody, to jeden z Niemców nakupił ciastek i te głodne dzieci częstował.

Dla Polaków było czymś niepojętym, że Żydzi nie uciekali z grup pilnowanych przez niewielu Niemców lub z transportu. Zawsze komuś udało by się zbiec. Wyglądali jakby byli zahipnotyzowani. Znajoma Żydówka pędzona na kirkut krzyczała do mojej babki: „My idziemy na obiad, ale wy pójdziecie na kolację.” Mieli więc świadomość, że i Polacy zostaną zlikwidowani.

Po zabiciu Żydów Niemcy zajęli w naszym domu miejsce po wcześniejszych lokatorach. Urządzili tam kancelarię sztabową. Wycieli też drzewa na ogrodzie i postawili samochód-radiostację. Przykryli ją ściętymi drzewami. Natomiast rodzina na różne sposoby działała w partyzantce, np. babka w splecionych odpowiednio włosach przemycała informacje przez patrole niemieckie. Młodzi działali na inne sposoby. Mój przyszły ojciec chorował i musiał więcej pozostawać w domu. Trzeba było z czegoś żyć, bo zabrakło dziadka Antoniego. Umarł z powodu przeziębienia zimą 1941 r. Niemcy wyciągali ludzi, jak stali, do usuwania na mrozie drzew powalonych na drogi przez partyzantów. Dziadek, który nigdy nie chorował, poszedł do Boży w niespełna 2 tygodnie. Do utrzymania rodziny pozostał nielegalny handel i kombinacje na różne sposoby, przemykanie mięsa i wędlin oraz liści tytoniu do Warszawy i Lwowa. Jakoś się to udawało.

Któregoś dnia, bliżej końca wojny, mój ojciec wyszedł na ulicę, a zza rogu wyszedł rudy Niemiec z karabinem do strzału i bez słowa zaprowadził go do aresztu w cerkwi. Oznakowali go farbą na czole i pognali 10 km do Zwierzyńca „za druty” (tak miejscowi określali tymczasowy obóz nieniecki). Rodzina, nie wiem, jakim sposobem, zadziałała i po jakimś czasie Niemcy umieścili ojca jako jeńca wojennego na wojskowym lotnisku w Klemensowie. Dobrze, że nie skończyło się to obozem koncentracyjnym. Ojciec przekupywał Niemców kielbasą i bimbrem, żeby dostawać przepustki do domu. Mówił, że już dało się tam wyżyć.

Zbliżało się tzw. wyzwolenie. Widać było, że Niemcy są niespokojni. Kiedy front ze wchodu przysuwał się do Szczebrzeszyna, wszyscy z rodziny puciekali w najbliższe wąwozy i lasy Roztocza. Babka Brońka nie uciekła, ale schowała się na podwórku pomiędzy chlewikiem a roslym wiązem. Szykowała się do ratowania domu, bo uciekający Niemcy mogli podpalić dom. Obserwowała ich. Nie wiedzieli, w którą stronę mieli uciekać. Zawracali i znowu uciekali. Zamieszanie, ale nie podpalili domu. Ukradli tylko sztuce i parę małych poduszek. Finałem odejścia Niemców ze Szczebrzeszyna było wysadzenie stacji kolejowej i mostu na Wieprzu.

Cukrownia w Klemensowie ocalała dzięki interwencji ks. Kapalskiego, proboszcza przez całą wojnę. Opowiadał mi kiedyś o tym. Uprosił Niemca, aby nie wysadzać cukrowni. Powiedział mu wtedy, że jaki z tego pożytek. Twoje dzieci chcą pić herbatę z cukrem i jeść cukierki. Dlaczego nie mogą i inne dzieci. To go przekonało. Cukrownia pozostała. Teraz zlikwidowali ją może Polacy, kiedy spełniała wszystkie normy unijne. Po cukrowni pozostał komin, które przydał się na maszt telefonii komórkowej.

Kiedy babka siedziała jeszcze w schowku na podwórku, młodzi powracali do domu i oznajmili, że Ruskie już przyszli. Słysząc było głośne okrzyki z rynku. Więc babka nie wytrzymała i pobiegła na rynek. Na schodach podcienie, na trybunie, zobaczyła znajomego sprzed 1939 r. Żyda w polskim mundurze, jak witał żołnierzy radzieckich. Podeszła do niego i z bliska powiedziała mu wiele nieprzyjemnych słów po żydowsku. Żadnego efektu. Nowa władza, chociaż teraz bez czerwonych opasek.

Zaczęły się nowe porządki, bo znani sprzed wojny komuniści żydowscy powrócili razem z wyzwolicielami i stawali się władzą ludową. Wzięli sobie do towarzystwa jakichś Polaków z marginesu. A zaprowadzanie nowego porządku wiązało się z likwidowaniem polskiej partyzantki. Babka opowiadała, że co 2 tygodnie lub częściej władza przychodziła do nas na rewizję i szukała partyzantów, których nazywali bandytami. Przy okazji rewizji grabili, co się dało, bo to zdobyczne z partyzantki. Wszystko było im potrzebne od odzieży po sprzęt kuchenny. Nie wychodzili z pustymi rękami. Przy tym dostawali od babki dużą porcję przekleństw po polsku, ale i po żydowsku.

Po latach w pokrzywach na ogrodzie plątała się duża trąba od patefonu na korbkę. Zabrali patefon, ale nie wiedzieli, po co ta trąba, czyli władza oświecona.

Nie mogli złapać stryja Zygmunta, który był poszukiwanym partyzantem, bo jeszcze nie akceptował nowej władzy. Liczba aresztowanych miała się zgadzać, więc zabrali mojego ojca. Pamiętam to. Zbudziłem się. Spałem w kołysce. Mogłem mieć ze trzy lata. Zamieszanie w domu. Ojciec się ubiera, matka płacze i robi ojcu jedzenie na drogę. Bałem się okropnie, bo przy mojej kołysce siedział brodaty mężczyzna z karabinem opartym o podłogę. Jak byłem starszy, to babka Brońka powiedziała mi, że był to znajomy Żyd, ale bez czerwonej opaski. Zabrali ojca do więzienia UB w Zamościu. Katowali i głodzili, żeby powiedział, gdzie jest brat Zygmunt. Matka ze dwa razy na tydzień jakimś sposobem dostawała się do Zamościa. Nosila chleb z cebulą i słoniną w środku oraz czystą bieliznę. W domu prała zakrwawioną bieliznę i szukała grypsów. Tutaj czytała prośby, aby coś zrobić, bo dłużej nie wytrzyma. Były to okrutne grypsy o tym, jak ojca męczyli. Ojciec rzadko dostawał przyniesione jedzenie, bo ci oprawcy mieli je na zakąskę do bimbru. Pamiętam, kiedy ojciec wrócił z więzienia. Często mdlał i spadał z krzesła na podłogę. Opowiadał, jak bili go pałkami na koźle, wkładali palce w szparę między drzwi i futrynę, jak był głodny i

spragniony wody i jak w nocy spali na betonie z odrobiną słomy i gryzły go szczury. Miał zdradzić, gdzie schował się stryjo Zygmunt. Nic z tego.

Któregoś dnia ponownie przyszli panowie bez czerwonych opasek i chcieli zabrać ojca. Był tak słaby, że nie chcieli go nosić na rękach. Byli przezorni, bo przy noszeniu mogłyby im wypaść z kieszeni tak cenne czerwone opaski.

Czy w ludziach odezwie się kiedyś jeszcze jakaś wdzięczność za pomaganie z narażaniem własnego życia ?

Dzisiaj też należy młodym opowiadać w domu niepisaną historię rodziców, dziadków i na pewno tę ostatnią naszej Ojczyzny. Niech wiedzą, jak było. Dzięki temu może nie staną się ludźmi łatwymi do manipulacji.

Lublin, 17 IX 2023 r.